ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 1. Października 1892. **Nr. 19.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PIOTR WŁAST,

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Wtem konny człek dopadł do książęcego namiotu. Książę i Dobek, który za nim wyszedł, popatrzyli nań. Twarz jakąś miał pomięszaną, jakby przelękłą.

Wskazał ręką daleko, niby po za obozowe szranki.

— Tam! het — począł zdyszany — jest ich dość, walą a walą się.

— Kto? gdzie? — spytał Dobek.

— A woje! woje!

— Nasz lud?

— Nie, mówią, że dla oblężonych gromady ciągną.

Książę się rozśmiał pogardliwie.

— W matnią sami idą — odezwał się — a niech idą! Spóźnili się pewnie na odsiecz zamkowi, a chcieliby się teraz do niego dostać! Ha! ha! niech przybywają.

Nadbiegł drugi z tem samem.

Pytano: »Dużo ich tam?«

— Kto policzy? hej! kupy się suną! dużo tego.

Kazał księżę słać na zwiady, ale się nie strwożył nikt.

Co znaczyły nędzne kupki przeciw nagromadzonym tysiącom? Śmiali się niektórzy. W porę się zebrali na nas!

Już miał książę nazad wnijść do namiotu, gdy z drugiej strony nadbiegł Sotnik stary.

— Drogą ode Gniezna orszak tu jakiś ciągnie — rzekł. — Krzyż przed wozem niosą. Wóz czerwono wysłany na nim siedzi mąż wiekowy w sukni szkarłatnej.

Książę Władysław zatrząsł się.

— Arcybiskup z Gniezna! — zawołał. — Hej! Dobek! na koń i drogę mu przetorować do mnie, aby go nie śmiał tknąć, ani nie poszanować lud. Pasterz jest!

Z tem wszedł niespokojny trochę do namiotu, gdzie siedziała Agnieszka.

— Z Gniezna arcybiskup jedzie! — zawołał.

— Można się go było spodziewać — odparła księżna. — Jedzie za książętami prosić, bo oni wszyscy z nimi trzymają. Czują, że dla nich nie ma ratunku. Nie ich to sprawa ale nasza,

litości nie trzeba mieć. Pokłonem się go odprawi. Co mu do tego?

Ludzie na wzgórzu kupili się i patrzyli, bo na gościńcu widać już było poczet niemały. Krzyż srebrny, który świecił cały od słońca, wiózł na koniu krucyfer. Za nim jechał dwór konny i liczny orszak zbrojny, a w pośrodku na wozie krytym jechał sędziwy Jakub ze Żnina. Co było ludzi chrześcijańskich po drodze padali przed nim na kolana, a on ich w prawo i lewo palcami złożonemi błogosławił. Cisza się stała w obozie uroczysta.

Wóz ten szkarłatny, ciągnący powoli, straszny był, jakby na sobie dźwigał potęgę wielką.

Patrzano za nim jak się posuwał zwolna, toczył poważnie, zmierzając wprost ku namiotowi książęcemu. Kto bliżej mógł spojrzeć w twarz starca, dojrzał w obliczu tem, znak jakiegoś oburzenia i gniewu, który przerażał.

Starzec oczyma wodząc po obozie, wstrząsał się ze zgrozy.

Za nim w komżach ze świecami zapalonemi postępowali duchowni, a na czele ich Rupert biskup krakowski i ks. Janik wrocławski, w sukniach obrzędowych, kościelnych z laskami i świecami w ręku.

Ten występ duchowieństwa tak odświetny, uroczysty jakiś, patrzącym z namiotu wydał się dziwnym, strasznym prawie. Coś w nim było pogrzebowego. Książę Władysław stał blady i pomięszany, Agnieszka zarumieniła się niespokojna.

Orszak jakby naumyślnie ciągnął noga za nogą, zatoczył się na wzgórze, aż pod sam namot książęcy, i na dany znak przez arcybiskupa, zamiast stanąć u wnijścia jego, zawrócił w samą namiotu bramę i wjechał w nią. Duchowni wszyscy weszli za nim ze świecami w rękach, i dokoła patrząc stanęli.

Arcybiskup nie powstał, na wysokiem siedzeniu, jak na tronie siedząc, czekać się zdawał. Panowało milczenie, ludzie się gromadzili, wyszedł zwolna książę odkrywszy głowę, wysunęła się za nim Agnieszka.

Stanęli jak winowajcy przed tym starcem, który ponad niemi rozsiadłszy się, z góry spoglądał chmurno.

Władysław po krótkim namyśle, do wozu się zbliżył, zdało mu się, że arcybiskup wysiądzie.

Nie ruszył się starzec.

— Nie gościem ja tu do was przybyłem, ale mścicielem — odezwał się powoli, głosem poważnym. — Pogwałciliście boskie i ludzkie prawa, ziemie nasze zaleliście pogaństwem, obalone kościoły, pomordowani słudzy boży, trupami usłane pola! To sprawa wasza! Idziecie nastając nielitościwie na gardła braci waszych, nieopamiętani niczem.

Wstrzymał się, wzruszenie mu głos w piersi zatamowało. Władysław blady milczał. Patrzał na żonę, której oczy krwią zabiegały, rękami trzymała płótno namiotu, gniotąc je jakby poszarpać chciała.

— Nie kajacie się, Kainy! nie kajacie się, niezbożni. Niech więc spadnie na was grom Boży!

Wstrzymał się raz drugi, czekając. Władysław milczał dumnie, groźba obudziła w nim nie postrach, ale gniew uporny. Zwolna kołpak, który trzymał w ręku, nałożył na głowę i spojrzał na biskupa zuchwale i wyzywająco.

Czuł się tu panem.

W starcu gniew urósł jeszcze.

— Nie kajacie się? — powtórzył — niech spadnie na was grom Boży!

I podniósłszy się z siedzenia, ręce do góry rozpostarł, wołając:

— Przekleństwo na ciebie Władysławie, przekleństwo na żonę twą i wspólniczkę, na cały ród twój, do dziesiątego pokolenia. Bądźcie przeklęci na ziemi, w życiu i po zgonie, bądźcie przeklęci z Kainem i Lucyperem!

Biskup cisnął świecę podaną mu przez księdza, a za nim inni wszyscy poczęli rzucać i gasić światła, powtarzając chórem, głosami wielkiemi:

— Przekleństwo!

Książę Władysław drżący stał słupem, ci co go otaczali słuchali odrętwieni. Agnieszka padła na kolana,

potem porwawszy się wnet, za ścianą namiotu ukryła.

Arcybiskup usiadł twarz odwracając; na dany znak wóz z pod namiotu, w którym stał, zwolna wyciągać zaczął na plac, gdzie mnóstwo żołnierzy i ciurów zbiegło się patrzeć na przybyłych duchownych, jak na widowisko jakieś dziwne, którego znaczenia nie rozumiało.

Lecz tłum ten, do którego nie dochodziły wyrazy strasznej klątwy, drżał od trwogi przeczuciem.

Wtem woźnica arcybiskupi, gdy już z pod namiotu wyjeżdżał, jakby umyślnie kołem zawadził o słup utrzymujący płócienne okrycie, i zaledwie się wóz wytoczył, gdy one drzewce zachwiało się i namiot cały runął na głowy stojących pod nim, księcia Władysława, żony jego i dworu.

Krzyk przerażenia dobył się z pod płócien, pod któremi poruszali się, dobywając przygnieceni.

Nie można było posądzać, że się to stało umyślnie, ale że Bóg uczynił znak, zgubę przepowiadający Władysławowi.

Stojący dokoła ludzie rzucili się wnet odgarniać płótna i wydobywać z pod nich przygniecionych niemi. Tymczasem wóz arcybiskupi, który otaczało duchowieństwo, zwolna ciągnąc obozowemi uliczkami, witany po drodze przez strwożonych żołnierzy, bez przeszkody oddalił się, zostawując za sobą przerażenie i grozę.

Z pod namiotu pierwszy wydostał się książę Władysław z ruskim swym sprzymierzeńcem kniaziem Wsewołodem, który wypadkiem tym, więcej był przerażony od niego. Chłodny, obojętny prawie już, ostygłszy z pierwszej trwogi, Władysław nie rzekłszy nic, patrzał na odjeżdżającego arcybiskupa.

Ani narzekania, ani jeden wyraz gniewny nie dobył się z ust jego.

Takie było nawyknienie do posłuszeństwa dla duchownych, takie poszanowanie tego stanu, wrażone przez pierwszych panujących, u których oni stali na równi z królami i mocarzami, iż porwanie się przeciw kapłanowi, niesłychanem, niemożliwem było.

Klątwa, która strąciła z tronu Szczodrego, stała jeszcze w pamięci wszystkich.

Taką samę teraz cisnął arcybiskup na księcia, na żonę jego i na wszystkich wspólników, dopomagających mu przeciw braci.

Książę stał zadumany, upokorzony, a jednak mało nią poruszony, gdy Agnieszka z płaczliwym gniewem doń przybiegła.

— Słać potrzeba natychmiast do Rzymu! do Papieża, do Cesarza! ze skargami, z żałobą, — wołała targając suknię na sobie. — Niepierwsza to niesprawiedliwa klątwa, której Pan Bóg nie wysłucha! Zważać na nią byłoby tchórzowstwem, zgubą, podłością! Nie mieli już innego ratunku, to ostatnia ich strzała. Gdy ta nie poskutkuje, poddać się muszą.

Tak mówiła księżna, a zbiegający się Niemcy gorąco ją popierali, śmiejąc się z księży, którzy mieli, nic nie sprawiwszy, okryci hańbą, prosić sami później o przebaczenie.

Ruski kniaź patrzał i słuchał niewiele rozumiejąc; wszelako jemu się to nie podobało i dawało do myślenia. Gdy Władysław do niego z pytaniem się zwrócił, począł mu szeptać:

— Ej, brat ty mój! Zgodzićby się z niemi! Ze świaszczennikami niedobra sprawa. U was oni wielką wolę mają, musicie ich słuchać! Zgoda lepsza! A toż to bracia wasi!

— Nie bracia są, wrogi, nieprzyjaciele — wtrąciła gwałtownie Agnieszka, — z niemi zgody być nie może. Jeżeli im życie darujemy, niech i za to dziękują Bogu! Z klątwy nas starszy nad nich Biskup Rzymski rozwiąże, a my postaramy się, aby ją rzucił na tych, co śmieli prawego pana swojego znieważyć!

Wśród żwawych rozmów o tem całego dworu, Władysław stał zimny i niemal obojętny. Z dziwnie chłodną jakąś krwią spoglądał na gród oblężony i jakby nie słuchając, co mówiono dokoła, odezwał się po przestanku.

— Poddać się muszą! muszą.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Fara Wolska. (Obacz objaśnienia rycin na str. 304).

CHCESZ MIEĆ DOBRZE?

Chcesz mieć dobrze, to, mój bracie,
Nie odstępuj nigdy Boga;
Żywą wiarę szczep w twej chacie,
Niech ci zawsze będzie droga.

Gdy ogarnie cię zwątpienie,
To w modlitwie szukaj rady;
Zawsze znajdziesz pokrzepienie,
Niepokoju znikną ślady.

Szczęścia — szukaj w swej rodzinie,
Dla niej chciej się oddać cały,
Tylko w niej czas słodko płynie,
Choćby w okół burze wrzały.

Wzmacniaj węzły w niej poczciwe
I szerz wszystkie piękne cnoty;
Omiń ścieżki, drogi krzywe,
Które wiodą do sromoty.

Niech rodzina będzie silna,
Nie rozbije jej prąd srogi,
Ztąd i pewność nieomylna,
Że w niej znajdziesz spokój błogi.

Pracuj ciągle, jak człek prawy,
Praca nigdy nie zawiedzie;
Bóg pomoże ci łaskawy,
Iż się łacno oprzesz biedzie.

Lecz pracować umieć trzeba;
Kto nie umie — nieporadny,
A nieuctwo nie da chleba
I korzyści nie da żadnej.

Biedę zwalczysz tylko pracą;
Kto inaczej rozumuje,
To podstępny i ladaco,
Ten zamiary wsteczne knuje.

Co zarobisz, to oszczędzaj,
Bo oszczędność byt osładza;
Marnotrawstwa myśl odpędzaj,
Nierząd smutny los sprowadza.

Tam, gdzie praca i oszczędność,
Przykra dola nie zagości;
Gdzie na przyszłość jest oględność,
Tam warunek pomyślności.

Tam cudzego człek nie żąda
I na swojem poprzestaje!
Manny z nieba nie wygląda,
Nie odchodzi w obce kraje.

Kto na wierzbie gruszek szuka,
A pracować się mu nie chce,
Do cudzego mienia puka,
Bo go jakoś łechce.

Chcesz mieć dobrze, pracuj z Bogiem,
Porzuć wszelkie brednie, mrzonki,
A lenistwa stań się wrogiem,
Grosik chowaj do skarbonki.

Bądź stateczny, nie rozrzutny
I unikaj zwodzicieli,
Żywot twój nie będzie smutny,
Bóg ci łaski Swej udzieli!

O, On tylko pomódz może
I rozwieje przeciwności,
A więc nie wątp w żadnej porze,
Miej nadzieję dla przyszłości!

Józef Chmielewski.

Ameryka przed Kolumbem.

(Podług listów papieży.)

Dnia 12-go Października upływa 400 lat od odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba. Zasługa tego znakomitego męża przedewszystkiem też dla tego jest bardzo wielka, ponieważ przez swoje odkrycie przyczynił się do rozszerzenia chrześciaństwa na świecie. Obecny Papież, Leon XIII, pochwaliwszy zamiar obchodzenia uroczyście 400-setnej rocznicy, ze szczególnym naciskiem zasługę Kolumba około wiary chrześciańskiej podniósł.

(Z powodu rocznicy piszą dziś wszystkie gazety obszerniej o Kolumbie i od-

kryciu Ameryki, więc zbyteczną zda się nam być rzeczą, podawać w »Świetle« mniej lub więcej znane szczegóły. Ktoby chciał o tem więcej wiedzieć, a ze swojej gazety się nic o nich nie dowiedział, ten niech sobie sprowadzi kalendarz »Katolika« na rok 1893, a zaspokoi swoję ciekawość.)

Nie ujmując zasługi Kolumbowi, trzeba jednak stwierdzić, iż nie on pierwszy wiedział o Ameryce i nie on pierwszy dla chrześciaństwa w tej części ziemi działał. Z różnych starych ksiąg, a mianowicie z listów papieży okazuje się, że już przed Kolumbem chrześciańscy, katoliccy missyonarze, niektóre części Ameryki znali i w nich prawdy wiary Chrystusowej głosili.

Stare kroniki głoszą, że już święty Brendan w roku 565 do Ameryki się wyprawił. Odkrył on przypadkiem pewną wyspę, ale odjechawszy od niej, odnaleść jej nie mógł. Nazywał ją »zgubioną« wśród morza wyspą. Pewniejsze już wiadomości przechowały się o odkryciu Grenlandyi czyli »zielonej wyspy.« Niejaki Gunnbjörn był tam w roku 870, a w roku 985 założył tamże Eryk Czerwony pierwszą osadę. W połowie 11-go wieku wyprawili się fryzyjscy podróżnicy z nad rzeki Wezery w owe dalekie strony i opowiadali, wróciwszy, że tamtejsi mieszkańcy w norach ziemnych mieszkają.

Łatwo pojąć, że podróżnicy, odkrywszy Grenlandyą, zapragnęli w dalszą podróż się udać, bo przypuszczali, że w sąsiedztwie Grenlandyi muszą się znajdować jeszcze inne ziemie, inne wyspy. Leif, syn Eryka, odkrył skalisty kraj, dzisiaj Labradorem zwany; wkrótce potem inny kraj lesisty, zapewne dzisiejszą Nową Szkocyą. Pierwszemu dał nazwę: »kraj kamienisty«, drugiemu: »kraj lesisty.« Dalej jadąc odkryli ziemię, w której były liczne winogrady. Nazwali ją: »ziemią winną«, a był to kraj, zwany dzisiaj Massachusetts.

Wieści o tych odkryciach rozniosły się po Europie, bo w pewnej księdze z 13-go wieku pisząc o Grenlandyi, dodają, że w sąsiedztwie Grenlandyi znajdują się jeszcze inne ziemie.

Kiedy pierwszy Missyonarz na ziemi amerykańskiej stanął, z pewnością powiedzieć nie można. W piśmie papieża Grzegorza IV z r. 831, którem biskupstwo hamburskie ustanowione zostało, już jest wzmianka, że biskupowi hamburskiemu podlegają też kraje daleko na morzu leżące a Grenlandyą zwane.

W roku 1121 już Grenlandya miała biskupa, Eryka Uspi, który stale w »ziemi winnej« prawdy wiary Chrystusowej głosi. Praca missyonarzy katolickich nie pozostała widać bez skutku, bo jakkolwiek chrześciaństwo w niektórych krajach, w których je głosili, później upadło, to jednak imiona, obyczaje, a nawet modlitwy chrześciańskie utrzymały się. O tem świadczy wenecki podróżnik Zeno, który przy końcu 14-go i missyonarz Leklerk, który w pierwszej połowie 17-go wieku w Ameryce byli, albowiem u całkiem dzikich szczepów indyjskich imiona, obyczaje, modlitwy chrześciańskie zauważyli. Jakkolwiek były one zepsute i pogaństwem zeszpecone, przecie rdzeń ich pochodził niezawodnie z najpierwszych czasów chrześciaństwa. W roku 1370 napotkali rybacy fryzyjscy w kraju dziś Nową Szkocyą zwanym, nietylko wyższą od pogańskiej kulturę, ale nawet książki łacińskie, chociaż ich nikt z tamtejszych ludzi nie rozumiał. To wszystko są ślady bytności chrześciańskich missyonarzy w krajach amerykańskich przed odkryciem Ameryki przez Kolumba.

Gdy missyonarze na tak dalekie missye się puszczali, nie mogło się to dziać bez wiedzy ich biskupów, bez wiedzy Stolicy Apostolskiej. Papieże wiedzieli tedy już bardzo rychło o istnieniu kraju zamorskiego, nazywanego mianem Grenlandyi. Tak oni, jak wszyscy inni sądzili, że Grenlandya jest w połączeniu ze stałym lądem Europy, że jest półwyspem Europy, daleko na zachód wysuniętym.

Jak już wspomniano, przydzielona była Grenlandya z początku biskupowi hamburskiemu. Dopiero w roku 1148

oddano ją pod opiekę arcybiskupa norwegskiego z Drontheim. Tworzyła osobną dyecezyą pod nazwą »Gardar.«

Od tego czasu znajdują się liczne wzmianki o Grenlandyi albo raczej o dyecezyi Gardar w pismach i zapiskach papieży. Grenlandczycy płacą już »grosz Piotrowy« dla Stolicy świętej, a na wspomożenie wojsk krzyżowych, idących walczyć przeciw poganom o ziemię świętą, przysyłają »skóry z wołów i morskich psów i kły wielorybów.«

W roku 1327 przysłali na wojny krzyżowe tyle kłów wielorybich, że gdy je sprzedano, przyniosły 338 marek norwegskich. Z ilości »grosza Piotrowego« płaconego przez Grenlandczyków papieżom, obliczono, że w owych czasach mogło być w całej dyecezyi Gardar 1000 chrześciańskich rodzin, a mniej więcej 10 tysięcy chrześcian. W roku 1418 było ich z pewnością więcej jeszcze, bo »grosz Piotrowy« dwa razy tyle wynosił, jak przed 100 laty. W tym samym roku jednak napadli ludzie ze sąsiednich krajów Grenlandyą i zniszczyli większą część osad chrześciańskich.

O tych pierwszych chrześcianach amerykańskich i ich dalszym losie głoszą dwa listy papieży, co następuje. Papież Mikołaj V wzywa w roku 1448 biskupów norwegskich, aby się zajęli ich losem. »Mieszkańcy owych krajów przyjęli wiarę Chrystusa Pana przed 600 laty i pod opieką Kościoła katolickiego i Stolicy Apostolskiej wiernie i bez skazy ją zachowywali. Zbudowali wiele kościołów i przepiękną katedrę... Przed 30 laty jednak napadli ich poganie z sąsiednich krajów i zniszczyli ich osady a kościoły spalili. Tylko dziewięć kościołów ocalało. Mieszkańców młodych i silnych zabrali w niewolę. Z czasem jednak udało się znacznej liczbie tych niewolników uciec z niewoli i wrócić do ojczyzny i życzą sobie, ażeby u nich znów nabożeństwo chrześciańskie zaprowadzone zostało.« Dla tego wzywa Ojciec św. biskupów norwegskich, ażeby missyą w Grenlandyi na nowo się zajęli.

Zdaje się jednak, że w ówczesnych stósunkach nie było to rzeczą możliwą a wezwanie papieża pozostało bez skutku.

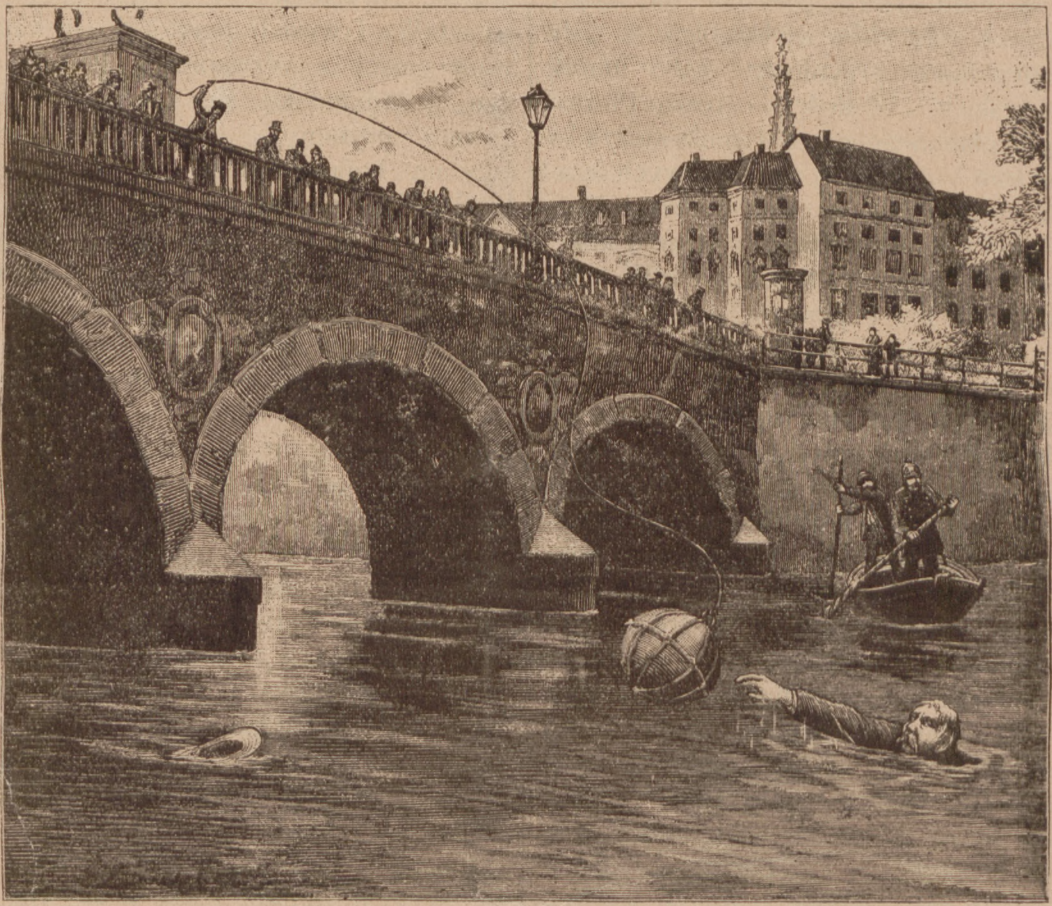
W 50 lat później zwrócili się chrześcianie grenlandzcy z ponowną prośbą do papieża Inocentego VIII, donosząc, że już żadnego kapłana chrześciańskiego nie mają, bo wszyscy wymarli. Papież chciał się zająć ich losem, lecz śmierć mu w tem przeszkodziła. Następca jego jednak, Aleksander VI, podjął dzieło poprzednika i wysłał pismo do biskupów norwegskich z wezwaniem, ażeby o misyą grendlandzką się starali. W tem piśmie czytamy: »Dyecezya Gardar leży na końcu świata, w ziemi grenlandzkiej a mieszkańcy jej żywią się suszonemi rybami i mlekiem. Ponieważ morze w tych stronach często i mocno marznie, przeto od 80 lat podobno żaden okręt do owego kraju dojechać nie mógł. Mówią, że tylko w miesiącu Sierpniu można do owego kraju dojechać. Od 80 lat tedy nie udał się tamdotąd żaden biskup ani ksiądz i dla tego mieszkańcy tamtejsi, którzy już dawniej ochrzcić się dali, znów do pogaństwa wrócili, Na pamiątkę nabożeństwa chrześciańskiego posiadają ci z pomiędzy nich, co chrześcianami zostali, korporał, który raz do roku pokazują. Przed 100 laty miał ostatni kapłan katolicki tego korporału używać przy mszy św....« Papież Aleksander zamianował też biskupa dla Grenlandyi, Macieja, który razem z misyonarzami miał się tamdotąd udać.

W tym samym roku, w którym papież Aleksander to pismo wydał, stanął Kolumb po raz pierwszy na ziemi amerykańskiej.

Z tego wszystkiego wynika jasno, że missyonarze Kościoła katolickiego byli pierwszymi pionierami chrześciaństwa i cywilizacyi w Ameryce i przypuścić należy, że gdyby Kolumb nie był się wyprawił na morze, kapłani katoliccy zwolna całą Amerykę byliby odkryli.

O CYGANACH.

Każdy człowiek chętnieby chciał wiedzieć o swojej przyszłości; dla tego zdarza się, że niejeden, który zgoła za dobrego katolika się uważa i w ogóle głowę ma nie od parady na karku, zapomina, że jeden Bóg tylko zna jego przeznaczenie w przyszłości i pyta się wróżek o swój los. Najczęściej bywają owe wróżki cygankami, kobietami w obdartem odzieniu, o śniadej twarzy, z przenikliwemi oczami. Cyganki te przychodzą w towarzystwie podobnych im mężczyzn, nie wiedzieć zkąd do wsi, zagrają na skrzypcach jaką skoczną melodyą, powróżą ludziom z dłoni, wycyganią trochę grosza i idą dalej, niejednokrotnie zabrawszy różne rzeczy, których im nikt nie dał, gdyż słyną z wielkiej złodziejskiej zręczności Zdarzało się też już, że cyganie nawet dzieci chrześciańskie porwali i uniósłszy z sobą na cyganów przerobili. My Polacy znamy Cyganów od dawna tak dobrze ze złodziejskich sztuk, żeśmy od ich nazwy osobne słowo: »cyganić« utworzyli, które ma takie samo znaczenie, jak: oszukać, okraść, w pole wyprowadzić.



Ratunek topielca. (Obacz objaśnienia rycin na str. 304).

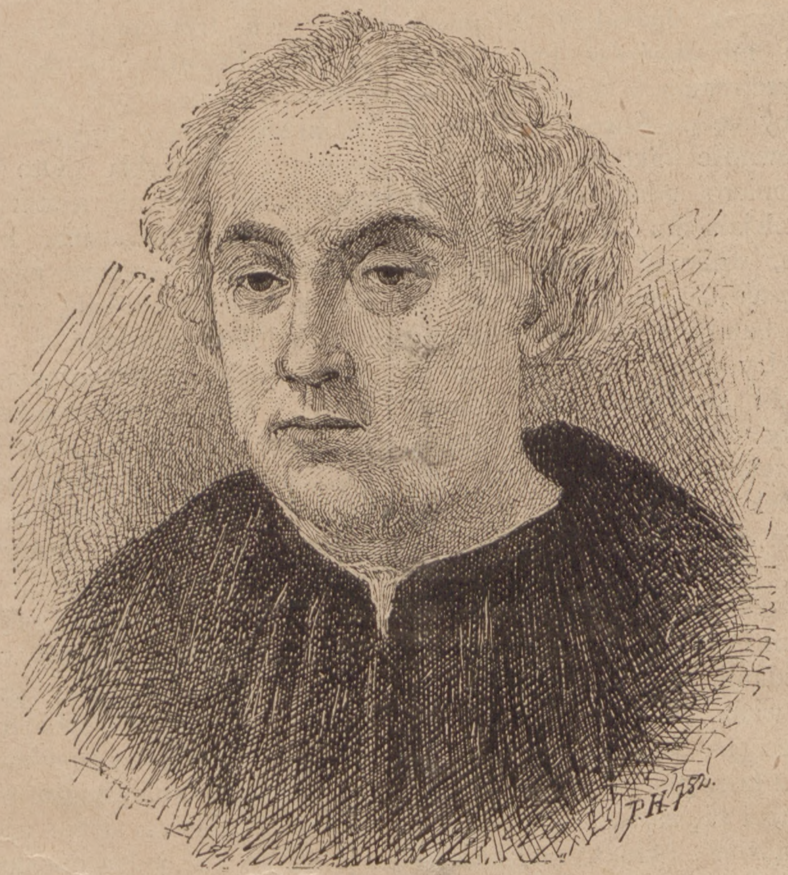
Widocznie nie zrobiliśmy krzywdy Cyganom, gdy słowo to utworzyliśmy, bo i inne narody uczyniły podobnie. Arabi nazywają ich harami czyli złodziejami, Indyanie sudasami czyli łotrami, mieszkańcy wyspy Borneo zaś biadżakami czyli korsarzami albo rozbójnikami morskimi. Snać tedy Cyganie wszędzie postępują sobie jednakowo, jeżeli różne

narody tak podobne nazwy im nadają.

Jakiż to naród, gdzie mieszka, zkąd przychodzi, dokąd idzie?

Pewien poeta polski ułożył spiewkę o cyganach, w której mniej więcej tak każe cyganom o sobie śpiewać:

Przed nami nędza,
Za nami nędza,



Krzysztof Kolumb. (Obacz objaśnienia rycin na str. 304).

Wieczna, wieczna nędza
Od wsi do wsi nas popędza.

Cyganie są narodem wałęsającym się po świecie. Prawie by ich słuszniej »wiecznym żydem« między narodami nazwać można, aniżeli naród żydowski. Gdzie ich nie ma, lub gdzie ich nie było?

W Europie znają Cyganów od 15-go stulecia; w Polsce byli w roku 1501, jak kroniki świadczą. Liczbę ich obecną podają w ogólności na 5 milionów, z których 700 tysięcy ma przebywać w Europie, a mianowicie w Turcyi 500 tysięcy, w krajach monarchii austryackiej 150 tysięcy, a reszta błąka się po innych krajach.

Właściwą ojczyzną cygańskiego narodu są Indye. W niektórych krajach nazywają ich dotąd: czarnymi Indyanami, albo czarnym ludem, albo tylko czarnymi. Oni sami mówią, że nazwa ich brzmi: Rumna-chal, co się na polskie tłómaczy; »ludzie, błądzący po równinach.«

Mają osobną mowę, która ma pochodzić ze sanskrytu, a tą mową i obyczajami różnią się od innych plemion

indyjskich. Gdziebądź przebywają, zajmują się najpodlejszemi sprawami: służą za szpiegów, najmują się za szwarcowników, przemytników, wałęsają się, kradzieżą i wróżeniem na chleb zarabiając.

Ponieważ Cyganów od dawien dawna otaczała pewna tajemniczość, przeto rozszerzyły się o nich różne wiadomości, które w jeszcze gorszem świetle ich przedstawiały, niżeli istotnie są. Opowiadano sobie, że z domu żadnej religii nie mają, inni mówili, że czczą słońce i ogień i że tym bożkom ofiary z ludzi składają, inni wreszcie dowodzili, że przyjmują religią mieszkańców tego kraju, w którym przebywają, a więc że Cyganie, wałęsający się po Europie, są chrześcianami. Pewności nikt nie wiedział.

Teraz dopiero udało się pewnemu uczonemu, niejakiemu dr. Henrykowi Wlislockiemu, wniknąć głębiej w charakter i zwyczaje Cyganów. Ów uczony przystał do bandy Cyganów i długie lata żył między nimi, wędrował razem z nimi, dzielił wszystkie ich kłopoty i — wyprawy złodziejskie i wróżbiarskie, nie przykładając oczywiście ręki do ich sztuczek.

W książce jego czytamy tedy, co następuje:

»Cyganie wierzą, że jest bóg najwyższy nazwiskiem Del, Devla, który mieszka ponad gwiazdami w prześlicznym pałacu. Ten »wielki bóg« stworzył świat i wszystko, co na nim jest, a na tym świecie było z początku wszystko w najlepszej zgodzie i piękności. Niebo i ziemia były połączone, było to małżeństwo a miało pięciu synów, którzy byli królami, a panowali nad słońcem, księżycem, ogniem, wiatrem, mgłą. Niestety niebo i ziemia poróżniły się z sobą i odtąd nastały śmierć, bieda i niedola dla ludzi; wiele złych duchów zapełniło ziemię, których nazywają demonami. Te demony właśnie są osią, około której religia Cyganów się obraca. Powietrze i woda, pola, góry i lasy, niebo i ziemia, — wszystko jest zapełnione tymi demonami. Wszędzie towarzyszą ludziom, mało kiedy mu pomagając lub dobrodziejstwa świadcząc a prawie zawsze nękając go i dręcząc. Najlepszemi z tych duchów są »białe niewiasty«, które jako boginie losów ludzkich oznaczają, jak się komu ma dziać. Owe białe niewiasty bywają z początku duchami lasów i drzew. Mieszkają w niedostępnych głębiach lasów w pałacach, lśniących od złota i srebra. Są wszystkie wysmukłej postaci a odziewają się w białe zasłony. Włosy długie spływają im niby złoty len na ramiona, gdy w noce księżycowe tany zawodzą na łączkach leśnych. Przy urodzeniu każdego dziecka stają ich trzy przy łożu, jedna dobra a dwie złe, aby mu dać jego przeznaczenie. Lecz i one, aczkolwiek boginiami są, starzeją się i umierają, jednakże śmiercią niezwykłą. Oto każda z nich zapada się w ziemię, a tam gdzie w ziemi zniknie, wyrasta osina, którą Cyganie »płaczącem drzewem« nazywają, ponieważ listki jej drząc całe, opłakują zmarłej.

Podobne tamtym są duchy lasów, gór i duchy przeznaczenia, zwane »keszalyi« albo jedwabnowłose. Są one córkami króla mgły, które je z rozpaczy nad śmiercią swej żony, spalonej przez króla słońca, z pałacu swego wypędził. Siedzą tedy, zwykle co trzy razem, w samotnych przepadliskach gór a włosy jej na mile długie wiewają się w dolinach, co sprawia mgłę. Gdy wstrząsną głowami, natenczas pada grad. Każda z tych bogiń upatrzy sobie między ludźmi jednego ulubieńca i przykuwa go do siebie na niezmiernie długim powrozie. Potem go zwabia do siebie na gór szczyty i jeżeli go raz jeden pocałuje, traci ulubieniec wszelką pamięć o swoim dotychczasowym losie. I te duchy znikają, ale znowu niezwykłą śmiercią; oto co dzień staje się każda z nich o ziarnko owsa mniejsza, aż nakoniec całkiem z powierzchni znika. One mają moc nad zdrowiem i chorobami. Władczynią ich jest królowa Ana, będąca matką dziewięciu »demonów choroby.« Wszelkie choroby powstają za ich sprawą. Ojcem tych demonów jest król »locholiczów,« najstraszniejszych i najobrzydliwszych duchów, które mają za zadanie nękać i gnębić ludzi. Te duchy stoją w ciągłej

walce z zaczarowanymi ludzi o psich łbach, zwanych »jiuklanuszc«. Po skałach, górach, przepaściach jest pełno duchów, olbrzymów, karłów i innych potworów. Z powodu tej mnogości duchów sądzi każdy Cygan, że gdziebądź stąpi, wszędzie otoczony jest duchami i zdany na ich łaskę lub niełaskę.

Ów uczony pisze, że ich chrześciańska wiara (jeżeli który chrześcianinem jest) bywa niejako odzieżą na święta; zaś wiara w dobre i złe duchy bywa ich koszulą, ich codzienną odzieżą. Wszystko co czynią lub czego nie czynią, dzieje się w tem mniemaniu, że nic się nie dzieje bez pomocy i woli tych duchów. Ludzie są tylko ich narzędziami.

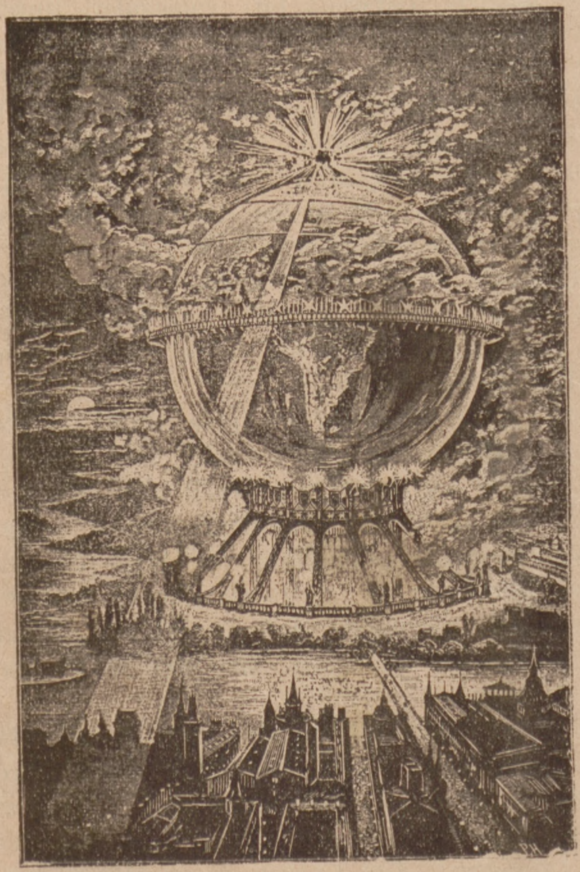
Najgłówniejszą troską Cyganów jest, aby wymiarkować, czyli to, co czynią, szczęście albo nieszczęście im przyniesie. Wszystkie myśli, uczucia, chęci Cygana skierowane są ku zmysłowości. Co dla ich zmysłów jest przyjemnem, to uważają za szczęście. W Siedmiogrodzie powtarza sobie lud o Cyganach takie przysłowie: »Dziewczę cygańskie pragnie wstążek i róż; chłopiec chciałby posiadać pstre spodnie; kobieta lubi małe dzieci; mężczyzna życzy sobie jak najwięcej wieprzków«. Gdy tedy rodzice proszą duchów o szczęście dla dziecka, to prośba ich stósuje się jedynie do rzeczy ziemskich, do przyjemnych, lub pożytecznych, któremi można sobie okupić jaką przyjemność. Prośba taka brzmi: »Jesteśmy biedni, o dobre duchy! Jesteśmy jak kamienie na drodze. Na nas nastąpi każdy koń i wół i człowiek! Nas płócze deszcz, nas pali słońce, bośmy jak kamienie na drodze. O przyjdźcie do nas, białe niewiasty. O spuśćcie na to nasze dziecię, ten najmłodszy kamyczek, wiele szczęścia i zdrowia. Nieszczęście w życiu i cierpienie przy śmierci bywa losem ludzi! — O przyjdźcie do nas, białe niewiasty! Matka chora, ojciec daleko, a dziecko samo! Co mamy najlepszego, to wam damy, boście wy dobre i łaskawe. A gdy przyjdziecie, to dajcie dziecku, co najlepszego: długie życie, wiele szczęścia, dobre zdrowie, wielkie bogactwo a nakoniec dobrą, ładną żonę!«

Odpędzać nieszczęście a sprowadzać szczęście, to jest zadaniem najważniejszem kobiet wróżbiarek czyli czarownic. Są one niejako łącznikiem między ludźmi a światem duchów. Cyganie nie mają ani kapłanów, ani żadnego nabożeństwa; wszystko, co u innych ludów pogańskich kapłani robią, załatwiają owe czarownice. One wiedzą, jakiemi zaklęciami wypędzić demona choroby z chorego; one mają władzę, ożywiać lub znieczulać duszę chorego; one wiedzą, jak w kim miłość lub zemstę wzbudzić lub wykorzenić. Przepowiadania przyszłości nikt od nich lepiej nie potrafi, a nadto mają moc swemi zaklęciami zamienić deszcz na pogodę, pogodę na deszcz. Dla tego też doznają wielkiego poważania u wszystkich, a że to po części są stare niewiasty, przeto poczucie szacunku względem nich przeniosło się także na wszystkie stare niewiasty.

Dr. Wlislocki podaje w swojej książce bardzo wiele takich zaklęć i czarodziejskich formułek, z których się pokazuje, że jakkolwiek Cyganie już prawie 5 wieków między chrześcianami żyją, przecież bardzo mało ze zwyczajów chrześciańskich przyjęli. Jedynie słowa: Jezus, Maryo i Michałko zachodzą w ich zaklęciach.

Obchód chrzcin u Cyganów okazuje, jak Cyganie swój zwyczaj i swoję wiarę do obyczaji chrześciańskich pozornie przyjętych stósują, nie przestając być poganami. Co Cygan o chrześciańskim chrzcie myśli, wypowiada najlepiej następująca piosenka: »Poszedłem ja do księdza, szukając kumotra dla mojej tysiąckrotnie ukochanej dzieciny. Dostałem dwa dukaty. Już może po dziesiąty raz sprawiam dziecku memu chrześciański chrzest: to przecie nie zaszkodzi!« Przed chrztem zgromadzają się krewni, kumotrowie i kumoterki przed namiotem rodziców na poczęstne, piją wódką i jedzą chleb, doprawiony pewnemi ziołami, mającemi cudowną siłę. Ojciec, matka lub czarownica pobłogosławią dziecko w ten sposób, że łóżeczko

jego trzema kroplami wódki skropią a kąsek chleba boginiom przeznaczenia ofiarują temi słowy: »Trzy boginie były tutaj i dały ci piękność. Masz być zawsze piękny i zdrowy, ty mój słodki, luby synku. Teraz niech je z tego chleba każda z bogin, ile chce; jam tu dzisiaj gospodynią!« Potem czarownica wynosi dziecko na dwór, kładzie je na ziemię i rózgą rowek koło dziecka zakreśliwszy, mówi: »Jak ta ziemia, bądź



Pomnik dla Kolumba. (Ob. obj. rycin na str. 304).

mocny i wielki! Niech serce twoje nie zazna smutku! Bądź wesoły, jak ptak.« Wtedy sypie jakiś proszek w rowek i mruczy: »Fałszywe oczy, które na cię spojrzą, niech zginą! Gdy matka i ojciec śpią, powinieneś być spokojny. Rośnij, rośnij krzepko! Bądź dla boga, nigdy dla djabła!« Potem na znak czarownicy zbliżają się bracia i siostry nowonarodzonego i podawszy sobie ręce, tańczą w koło niego, śpiewając: »Ptaszku, ptaszku, tam w lesie; śpiewaj, aby daleko słychać było. Teraz dzieciątko do wsi niosą. Ksiądz mu wodę dać musi, a bóg da orzech. Każdy niech mu da orzech, kto dziecko kocha.« To mówiąc rzucają orzechy na ziemię. Następnie kąpie czarownica dziecko w zaprawionej ziołkami wodzie i otula je w nowe pieluszki, które uschły przy ogniu z drzewa jabłkowego. Gdy to wszystko ukończyli, wiozą dziecko do chrztu do kościoła chrześciańskiego. Czarownica tymczasem wlewa wodę, w której dziecko wykąpała, w dziurawe drzewo w tym celu, aby dziecko dobrze rosło i mówi: »Deszcz pada z nieba a drzewa rosną; słońce ogrzewa ziemię a drzewa kwitną; wiatr wieje a drzewa padają; śnieg pada a drzewa więdną. Słodki boże! Ty patrzysz na nas a my dojrzewamy. Demony nadciągną, a my umieramy! Słodki ojczuszku tam w górze, nie gniewaj się nigdy na nasze dziecko. Daj mu moc i siłę; każ białemu psu (pies śmierci), aby mu dopiero w późnej starości zaszczekał. Pozwól mu żyć i rosnąć, jak drzewu. Trzy boginie były tu i przyrzekły mu długie życie. Siedm rusałek leśnych siedzi w lesie i straciły swoje dzieci. My biedni ludzie chwalimy cię, ojczuszku w niebie, jeżeli nam tego dziecka zabrać nie pozwolisz. Dajemy ci orzechy, dajemy ci proso, zachowaj nasze dziecko!« Proso i pestki korbala wrzucają w wodę na ofiarę; przed chatą naniecają ogień, przez którego dym musi przejść matka, z dzieckiem wracającą z kościoła. Gdy wreszcie każdy z obecnych dziecko ucałował, »aby mu tchnąć długie życie«, zasiadają do uczty.

Podano już wyżej, że Cyganie przyszli do Polski w r. 1501 za króla Aleksandra Jagiellończyka, który ich opieką otoczył. W roku 1577 w skutek skarg kanclerzów postanowiono ich wygnać z kraju, lecz województwo podlaskie zastrzegło sobie wyjątek i pozwalało Cyganów dalej w swoich granicach mieszkać. W roku 1624 zniesiono wygnanie dla tych, co na jednem miejscu się osiedlą; wypędzano tylko włóczęgów.

Ku końcowi 16-go wieku nałożono na nich podatki (pogłówne). Od czasów króla Zygmunta Augusta miała kancelarya państwowa prawo zamianowania »królów cygańskich« z grona szlachty polskiej. Ks. Radziwiłł, jako kanclerz, zamianował nim w r. 1778 niejakiego Jana Marcinkiewicza, rodem z Mira. W ziemi Lidzkiej był w tym samym czasie królem cygańskim niejaki Znamierowski. Jego następca, szlachcic Miłośnicki pokochał tak bardzo życie cygańskie, że w roku 1799 wyszedł z całą swoją hordą do Turcyi. Ci z pomiędzy Cyganów, którzy na jakiem miejscu stale się osiedlą, zatrudniają się rozmaitą robotą: wyrabiają gwoździe, podkowy, kagańce i t. p. Niektórzy łączą się w kapele cygańskie i jeżdżą po świecie, zadziwiając słuchaczów wprawną muzyką i wielką pamięcią; bo graju bez nut, z pamięci. Jeszcze inni najmują się na niedźwiedziarzy i oprowadzają niedźwiedzi po wsiach i miasteczkach.

PODRÓŻ BALONEM.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz rano ujrzeli podróżni rzekę Niger a tuż za nią jezioro nazwiskiem Debo. Ale nie wiele na to baczyli, bo całą ich uwagę zwrócił na siebie wiatr niekorzystny, gdyż ciągle w kierunku południowym wiejący. Fergusson myślał sobie, że gdyby wyżej balon wznieść mógł, toby może na pomyślniejszy wiatr natrafił, ale jakbądź próbował, nie zdołał balonu w górę wznieść. Nie mówił wprawdzie nic, ale był tak zakłopotany, że towarzysze poznali, iż położenie ich niedobre.

Cóż się z nimi stanie, gdy wiatr zapędzi ich, zamiast do krajów, będących pod panowaniem Anglików lub Francuzów, do krajów, które dzicy mają w posiadaniu? Po słabnącej sile balonu poznał, że tenże już długo nie wytrzyma. Gdyby przynajmniej wiatr był dobry, toby może jeszcze zalecieli na bezpieczne miejsce, zanimby balon zupełnie służbę im wypowiedział. Ale wiatr wiał przeciwny! Co to będzie?...

W tym kłopocie spostrzegł Fergusson, że barometr ku deszczowi się zniża. Ucieszył się, bo się spodziewał, że po deszczu wiatr się może zmieni. Powiedział o tem towarzyszom. Na to odezwał się Józef:

— Zdaje mi się, że deszcz będzie, bo widzę ogromną chmurę. Jeszczem w całem życiu takiej chmury nie widział.

Fergusson skierował szkło ku owej chmurze i odrzekł:

— To nie chmura!

— A cóż takiego? — spytał Józef.

— To szarańcza! — odpowiedział Fergusson. — Miliardy szarańczy lecą kupą, jak chmura. Biada krajowi, na który się spuszczą! W krótkiej chwili zamienią go w pustynię.

— Chciałbym to widzieć!

— Czekaj chwilę, to zobaczysz. Za jakie dziesięć minut nadleci ta chmura do nas. Będziesz się mógł przekonać, czym prawdę mówił.

Stało się tak, jak Fergusson powiedział. Owa chmura szarańczy, kilka mil szeroka i długa, zbliżała się wśród ogromnego szumu i spadła na sto kroków od balonu na zieleniejący się kawał łąki. Po ćwierć godzinie podniosła się znów i odleciała, a wtedy Józef nie zobaczył, ani jednej trawki. Drzewa były gołe, jakby uschły, krzaki wyglądały, jak pęki rózg z liści i kory ogołocone, słowem cała ta ziemia przemieniła się w tym krótkim czasie w pustynię.

— Widziałeś, Józefie? — spytał Fergusson.

— Widziałem i przestałem się dziwić, boć takie chmury tego robactwa potrzebują dużo pożywienia. Ale nie chciałbym być właścicielem tego pola.

Nie masz to sposobów na wytępienie tych rozbójników?

— Skutecznego sposobu nie ma — odpowiedział Fergusson. — Ludzie rozmaicie bronią się przed tą skrzydlatą klęską, ale to nie wiele pomaga. W niektórych okolicach ustawiają barykady czyli tamy, aby przeciąć szarańczom dalszy pochód, ale to nie wiele znaczy. (Obacz w przeszłym numerze »Światła« artykuł p. t. Klęska skrzydlata.) Niektóre szczepy dzikie zbierają to robactwo, przyprawiają i jedzą!

— Brrr... — wstrząsnął się pan Ryszard.

— Ej, panie Ryszardzie, — zawołał Józef ze śmiechem, — kto wie, czy to nie smaczne jedzenie. Szkoda wielka, żeśmy się nie mogli wstrzymać; byłbym zaraz upiekł taki przysmaczek szarańczy. Ho, ho, coby to moi znajomi powiedzieli, gdyby się dowiedzieli, żem takie frykasy jadł! Ubolewam, żem ich nie mógł posmakować.

Fergusson nie wiele zważał na słowa Józefa, bo cały zajęty był wiatrem. Pilnował go prawie, aby ani minuty nie stracić, gdy się w inną stronę kierować zacznie.

Ta chwila wreszcie nadeszła; wiatr zwolna począł wiać od zachodu.

— Teraz wyrzućmy wszystko, bez czego się obejść możemy, aby balonowi ulżyć.

Wyrzucili więc kilka próżnych butelek i jednę kistę, w której dawniej mięso przechowywali.

Wiatr wnet całkiem się skręcił po ich myśli i balon pędził dobrze całą noc. Nad rankiem ujrzeli pod sobą osady, które Fergusson znalazł także na swojej karcie, a przez to przekonał się, iż w dobrym kierunku lecą.

— Jeszcze dwa dni takiej jazdy — zawołał, — a staniemy nad rzeką Senegalem.

— To jest w angielskich posiadłościach, — bąknął Józef.

— Nie, we francuskich, — odrzekł Fergusson, — ale to już rzecz mniejszej wagi. Francuzi nas nie zjedzą, jakby to dzicy niezawodnie zrobili.

Józef spuścił smutnie głowę i pomyślawszy chwilę, rzekł:

— Wszystko ładnie się odbyło, tylko jedno mnie martwi.

— Cóż takiego? — zapytał Ryszard.

— Pewnie to, iżeś owej pieczeni z szarańczy nie posmakował?

— Nie! Oto to jest mojem zmartwieniem, żem ani jednego z owych pięknych złotych kamieni nie mógł uratować i do Anglii zawieść. Kto mi uwierzy, że nad Afryką podróżowałem? Gdybym miał kilka, choćby tylko kilka takich ładniuchnych kamieni złotych, zaiste każdyby uwierzył, że nietylko w Afryce, ale nawet na księżycu byłem. Szkoda!

— Józefie! Pamiętaj, że marność, marność, marność wszystko na tym świecie, nawet złote kamienie — rzekł Fergusson.

— Marność, a jakże — odrzekł smutnie Józef, — ale złota marność!

Fergusson pokiwał głową na to wzdychanie swego sługi za złotem.

X.

27 Maja nad ranem nadlecieli podróżni do kraju górzystego, w którym ani drzewa, ani trawki nie było. Wzgórza skaliste były z razu nie wysokie. Ale ponieważ im dalej, tem wyższe, przeto Fergusson słusznie się spodziewał, iż niedługo staną przed wysokiemi górami. Utwierdziła go w tem mniemaniu karta Afryki, na której wyraźnie góry w pobliżu były nakreślone.

Tymczasem balon zniżał się; cała jego postać wydłużała się. Nie był już kształtu okrągłego, lecz prawie podłużnego; gaz uchodził, a aparat nie mógł go już w dostatecznej ilości nastarczyć. Wiatr miał taką nad nim moc, że gdy ostrzej zawiał, to w balonie tworzyły się brózdy.

Wszyscy trzej podróżni widzieli to a pan Ryszard zapytał Fergussona:

— Czy balon ma dziurę?

— Nie — odrzekł tenże — ale mimo to gaz uchodzi przez powłokę; z jakiej przyczyny, nie wiem.

— Nie można temu zaradzić?

— Niestety, nie można. Jedyny sposób utrzymania się w górze, jest ten, aby balonowi odejmować ciężaru. Dla tego wyrzucajcie z łódki wszystko, co tylko można.

Pan Ryszard obejrzał się dokoła, wzdrygnął ramionami i rzekł:

— Łatwo powiedzieć: wyrzucajcie! gdy już nie ma zgoła nic do wyrzucenia.

— A może ja mógłbym zostać wyrzuconym? — zapytał Józef.

— Spojrzyj na dół, poczciwy chłopcze, — odpowiedział Ryszard, — a przekonasz się, że gdybyś tutaj wyskoczył, rozbiłbyś się na miejscu o skały.

Długą chwilę milczeli, aż Fergusson znów się odezwał:

— Wyrzućmy nasz namiot.

Mieli bowiem w łodzi namiot z płótna grubego, pod którym sypiali.

Gdy się tak stało, jak Fergusson nakazał, balon podniósł się nieco w górę, ale po chwili znów zaczął spadać ku dołowi.

— Gdybyśmy nie mieli gór wysokich do przebycia, — odezwał się Fergusson po chwili, — niechby sobie balon spadał, ale góry lada moment się ukażą.

— Już je widzę — zawyłał Józef.

I rzeczywiście; w ogromnej odległości ukazało się na widnokręgu pasmo gór wysokich.

— Moi przyjaciele! — rzekł Fergusson. — Musimy balon w jakibądź sposób wznieść tak wysoko, abyśmy nad temi górami przejechać mogli, inaczej balon rozbije się o nie.

— Co czynić?

— Wyrzućcie trzy części naszego zapasu wody; reszta wytarczy nam na 24 godziny, bo tyle czasu jeszcze potrzebujemy, ażeby dojechać do rzeki Senegalu.

— A nie moglibyśmy owych gór jako objechać? — spytał p. Ryszard.

— Nie sposób, — odpowiedział Fergusson. — Patrz, jak daleko się ciągną, końca ich ani dojrzeć. Jedyny sposób przejechać nad nimi. Dla tego musimy poświęcić wodę. Nie zwłóczcie z tem, bo wiatr stał się gwałtowniejszym, i balon pędzi z ogromną szybkością ku górom.

Wyrzucili wodę.

— Idzie balon w górę? — spytał Ryszard.

— O pięćdziesiąt stóp się wzniósł — odrzekł Fergusson, — ale to jest za mało. Musimy się jeszcze wyżej wznieść.

Balon pędził ku górom, — nie było chwili do stracenia.

— Wyrzućcie wszystkie zapasy żywności i mięso! Zostawcie tyle, ile na pół dnia dla nas wszystkich potrzeba!

Gdy to uczynili, balon podniósł się znowu o 50 stóp, ale i to jeszcze było za mało; góry były wyższe.

— Za 10 minut roztrzaskamy się o skały, jeżeli nie zdołamy podnieść balonu. Ryszardzie, wyrzuć twój karabin!

— Co? Mój karabin? — krzyknął Ryszard.

— Proszę cię o to!

— Ależ przyjacielu, mój karabin!

— Jeżeli ci miłe twoje i nasze życie, wyrzuć karabin, wszystkie kule i cały zapas prochu!

Józef nie pytając p. Ryszarda wyrzucił kilka woreczków z kulami, potem dery, na których sypiali. Balon się podniósł o tyle, że górna jego część już się wyżej znajdowała, niż szczyty gór, lecz dolna część z łódką jeszcze niżej była.

— Za dwie minuty zginiemy, jeżeli twego karabina nie wyrzucisz, — krzyknął Fergusson do Ryszarda.

— Czekajcie, panie Ryszardzie! — odezwał się Józef w tej chwili.

Gdy Ryszard się odwrócił, ujrzał, że Józef przewinął się przez krawędź łódki balonowej i znikł.

— Józefie, Józefie! — zakrzyknął.

— Zgubiony! — rzekł Fergusson.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Fara Wolska. Osada Wola niezmiernie starożytna prawdopodobnie powstała z zaludnionej w okolicy miejscowości. Wszystkie albowiem Wole ten sam mają początek. Warszawska nosiła nadto zdawna nazwisko Wielkiej Woli. W historyi wspominana już jest w XIV-tym wieku, jako własność Książąt Mazowieckich i wówczas należała pod względem sądowym do wójtowstwa Warszawskiego. Następnie weszła w skład starostwa warszawskiego, i za pierwszej wojny szwedzkiej 1657 r. była zniesiona do szczętu. Pamiętna mianowicie ztąd, że na jej błoniach byli wybierani dawni Królowie Polscy, poczynając od Stefana Batorego, wszyscy oprócz Augusta III. W tym celu był tam usypany wał z rowem, w którym były trzy bramy dla Wielkopolski, Małopolski i Litwy, którędy wjeżdżali posłowie. Żołnierze marszałkowscy strzegli bram nie wpuszczając ciekawych. W środku okopu w jednej części wznosiła się szopa, gdzie Senat zasiadał, a w drugiej stały ławki dla koła rycerskiego i dla izby poselskiej, która pod gołem niebem obradowała. Właściwe pole elekcyjne rozciągało się od miejsca, gdzie teraz jest cmentarz ewangielicko-reformowany, aż za kościół Wolski prawosławny. Miejsce to było świadkiem wielu ważnych wypadków i pamiętnego w różnych czasach krwi rozlewu.

Kościół katolicki zbudowany został w r. 1860 kosztem rządu, podług planu Józefa Orłowskiego, w stylu romańskim. Dwie statuły jedna świętego Stanisława, druga świętego Jana Nepomucena, umieszczone na frontowej ścianie, podobnie jak płaskorzeźba w drzwiach głównych są dłuta T. Cenglera. W ołtarzach najlepsze obrazy malowane na blasze święty Kazimierz i święta Elżbieta przez Gierdziejewskiego.

Ratunek topielca. We wszystkich cywilizowanych państwach istnieją towarzystwa ratowania tonących. Ratunek staje się coraz więcej prawidłowym i pewniejszym, do czego specyalne przyrządy pomagają. Wybornie się do tego nadaje przyrząd używany w Niemczech; składa się on z dużej, pustej wewnątrz kuli gutaperczanej, przytwierdzonej żelaznym pierścieniem do sznura; kulę rzucają topielcowi a ten schwyciwszy ją, może się bez wysiłku na powierzchni utrzymać, dopóki nie zjawi się łódź ratunkowa. Obrazek w dzisiejszem »Świetle« przedstawia ocalenie topielca za pomocą takiej kuli.

Krzysztof Kolumb miał tak wyglądać, jak go obrazek na stronie 297 przedstawia. Albowiem rycina ta jest zrobiona podług obrazu malarza Piombo, który żył za czasów Kolumba.

Pomnik dla Kolumba. Każdy przyzna, że Kolumb wart wspaniałego pomnika za zasługi jakie oddał chrześciaństwu i cywilizacyi. Najpiękniejszy pomnik postawi mu Kościół katolicki, jeżeli go w poczet Świętych policzy, ku czemu się czynią starania. Gdy jednak ludzie, a mianowicie Amerykanie, chcą go uczcić rzeczywistym pomnikiem, to powinien być pomnik okazały. Pewien hiszpański architekt (budowniczy) zrobił plan pomnika wspaniałego. Jakby on miał wyglądać, to przedstawia rycina na str. 300.

Pomnik ma kształt globusa (czyli kuli, na jakiej w szkołach geografii uczą), na którym przedstawione ziemie i morza całego świata. Średnica tej ogromnej kuli wynosi 300 metrów. Kula, jak w ogóle cały pomnik mają być z samego żelaza i stali. Kula spoczywa na żelaznym fundamencie, a mianowicie na rusztowaniu; 16 ogromnych ramion podtrzymuje cały globus. W środku koła, zajętego przez fundament pomnika, na ziemi, ma stać ogromny pomnik Kolumba, a w około niego pomniki innych podróżników; w około fundamentu zaś figury, przedstawiające wszystkie kraje amerykańskie, które Kolumb dla Hiszpanii przez swoje odkrycie zdobył. U stóp każdej z podpór znów stanąć mają figury, przedstawiające różne rasy ludzi, żyjących na świecie.

Wewnątrz każdej z tych podpór znajduje się winda, na którą wsiadłszy, można dojechać aż do miejsca, gdzie się kula zaczyna. Tam, pod kulą, jest ogromna sala, a w około galerye, z których się piękny widok przedstawia. Z tej sali prowadzą schody do kuli, a w kuli są, do ścian kuli przytwierdzone galerye ze schodami, po których aż na sam czubek kuli wejść można. Tam ma być umieszczony okręt dokładnie tak zrobiony, jak ów, na którym Kolumb do Ameryki jechał. Przez środek kuli na wewnątrz i zewnątrz jest urządzona galerya, przedstawiająca ekwator. Cały pomnik miałby mieć 400 metrów wysokości. Koszta tego pomnika obliczają na $31^1/_2$ miliona franków.

Czy Amerykanie ten pomnik rzyczywiście postawią, nie jest rzeczą pewną. Jeżeliby tego zaniechali, to podobno Anglicy w Londynie postawić go zamierzają. Na wystawie w Chicago mają wystawić mały model pomnika czyli dokładną podobiznę tego pomnika, ale w zmiejszeniu. Gdziebądź ten pomnik postawią, będzie wspaniały, zwłaszcza, gdy go jeszcze rzęsiście światłem elektrycznem oświecą.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Wstrzymać krwiotok z nosa.** W razie krwiotoku trzeba ręce pacyenta trzymać ponad głową; przez to naczynia krwionośne ramienia kurczą się i krwiotok ustaje. Jednocześnie trzeba przyłożyć na twarz wilgotną chustkę. Inny sposób polega na wstrzykiwaniu do nosa ciepłej wody z solą.

— **Gaszenie pragnienia.** Jako skuteczny środek gaszący pragnienie i sprawiający powolne ochłodzenie ciała po dłuższych marszach podczas upałów, przydatny w ogóle dla każdego rozgrzanego, polecają następujący: należy obie dłonie włożyć na 5 minut w bieżącą wodę, przez co cały korpus powoli ochłonie i pragnienie się zmniejsza; odnosi się potem wrażenie, jakby się wzięło kąpiel. Środek ten używany bywa w całych Indyach, gdzie pomimo ogromnych upałów, porażenia od słońca rzadko zachodzą.

— **Sposób żywienia kur, ażeby w zimie duże jaja niosły.** W niektórych okolicach Niemiec, otrzymują gospodynie od swych kur jaja w zimie 14 dkgr. ważące, najczęściej z podwójnemi żółtkami, a to w następujący sposób. Zbiera się po lasach grzyby wielkie, stare i inne, które do jedzenia rzadko lub wcale nie służą, lecz nie trujące, drobno się je kraje, suszy i na proszek tłucze. Podobnież tłucze się na proszek nieco grubszy, ususzoną żołądź i bukiew, a rozdrobnione zewnętrzne łupinki z lnu warzy się w wodzie, i takową z pomienionemi łupinkami miesza, dodając równą ilość żytnich otrąb, przysypuje półtora razy tyle co łupinek lnianych, proszku z grzybów i tyleż utłuczonej żołędzi lub bukwi, wszystko ostatecznie zagniata na ciasto, z którego kurom daje się gałeczki wielkości bobu.

— **Sposób odstraszania ptactwa od roli.** Równe ilości tranu, terpentyny i drobnego prochu strzelniczego ogrzewa się z wodą, a gdy roztwór się zagrzeje, moczy w tymże szmaty które się na tykach zawiesza i na roli rozstawia. Trzy takie tyki wystarczą na jeden mórg pola.

— **Sposób zapobiegania kwaszeniu się piwa.** Upala się bylicy i bukowego drzewa na popiół i po garści tychże wsypuje do beczki z piwem, a takowe nie tak prędko skwaśnieje.

— **Łatwy sposób prędkiego odtajania okien.** Rozpuszcza się sól w wodzie, macza gąbkę i tą pociąga kilkakrotnie zamarzłe okna.

— **Ostrzenie brzytew.** Wyborną pastę do napuszczania pasków służących do ostrzenia brzytew, przyrządza się z miałkiego proszku trypli i łoju lub oliwy prowanckiej.

— **Cement do murów podwodnych.** Bierze się 2 cz. świeżo palonego wapna w proszku. 1 część mielonej cegły, $^1/_5$ część sproszkowanej zendry i $^1/_{10}$ tlenku manganu w proszku, zarabia to wszystko na twarde ciasto. Suche fugi, powinny być przed użyciem kitu zwilżone olejem lnianym.

Rozmaitości.

* **Śmierć wskutek skępstwa.** Z Kołomyi donoszą: Przed kilku dniami znany, tu bogacz Szloma Bernhaut, jadąc do miasta, nie chciał zapłacić dwunastu centów za rogatkę i aby ją ominąć kazał woźnicy przez Prut przejechać. Wskutek ulewy jednak rzeka silnie wezbrała, gdy więc wjechano do niej, fale porwały wóz z końmi, wywróciły go, a Bernhaut wypadłszy z niego, utonął. Woźnica zdołał się uratować. Zwłoki Bernhauta wydobyto z Prutu koło Hornicza, wioski odległej o pół mili od Kołomyi. Znaleziono przy nim kwotę 1,100 złr.

* **Że ryby barwę swą zmieniają,** zauważono wprawdzie już dawno, lecz dotąd wiedziano tylko na mocy badań i doświadczeń Poucheta, przed laty 20 dokonanych, że barwa skóry u ryb w dziwnym stoi związku z organem wzroku. Jeżeli oko przestanie funkcyonować t. j. jeżeli nie przepuszcza światła, natenczas wygląda skóra ciemniej. Spostrzeżono to dopiero u kilku ryb o ciemniejszej barwie wśród towarzyszów tegoż gatunku w stawie płynących, — te bowiem okazały się wszystkie ślepemi. Kiedy dla przekonania się oślepiono kilka płaszczek morskich (Steinbutt), jasna ich barwa ściemniała już na zawsze. Kolor skóry jest zależny od tak zwanych chromotoforów t. j. małych komórek w skórze, napełnionych ciemnym rozczynem. Komórki te mogą się tak zwiększać, jak i ściągać, nie są zawsze jednego tylko kształtu, to wypuszczają w każdym kierunku drobne odnogi, jak promienie słoneczne, to znowu pod wpływem innych stósunków wciągają je i zaokrąglają się. Łatwo więc sobie wystawić, że im komórka większa, im liczniejsze i większe posiada odnogi pełne ciemnego rozczynu, tem większą przestrzeń skóry zafarbować zdolna; w przeciwnym razie, t. j. jeżeli się komórki zaokrąglą i zmniejszą, musi koniecznie skóra nabyć barwy jaśniejszej. Chodziło więc o to jedynie, aby przez stósowne doświadczenia wynaleść, jak się komórki te zachowują w stanie spoczynku, a jak podrażnione. W tym celu użyto znowu prądu elektrycznego — dziś wszystko się robi siłą elektryczną — i wykazano za pomocą różnych eksperymentów, których spisywać za wieleby czasu i miejsca zajęło, iż komórki podrażnione prądem elektrycznym zmniejszały się i spowodowywały jaśniejszy kolor, w stanie spoczynku działały przeciwnie. Jeżeli więc ślepe lub oślepione ryby mają ciemniejszą barwę skóry, natenczas musi światło działać podrażniająco, ale tylko przechodząc przez oko; padając bezpośrednio na skórę, nie wywiera ono żadnego wpływu jak

n. p. u kameleona. Zatem ryby, złożone w znaczniejszej głębokości, wyglądają zawsze jaśniej, niż są w istocie, — naturalnie, jeżeli wynik powyższego doświadczenia można na każdy przypadek zastósować do ryb każdego rodzaju.

* **Ojczyzną róży** jest Azya. Za czasów Herodota była ona bardzo rozpowszechniona nad Tygrem i Eufratem; stanowiła ulubiony kwiat babilończyków, którzy laski swe wieńczyli różami z kruszczu lub rzeźbionego drzewa. Oni też najpierwsi odkryli sposób wydobywania wonnego olejku z listków różanych za pomocą destylacyi; sztuka ta nieznaną była grekom i rzymianom. W Egipcie i Persyi piękny ten kwiat był hodowany od niepamiętnych czasów. W Rzymie był ceniony nad wszystkie inne: biesiadnicy przy stole wieńczyli czoła i puhary różami; Lukullus sypiał na posłaniu z listków różanych. Legenda mówi o okrutnym żarcie Nerona, który sprosiwszy na ucztę senatorów, kazał sypać na nich z góry listki różane, dopóki się nie podusili.

* **Najwięcej jedwabiu** dostarczają Chiny; roczny wywóz za granicę wynosi 3,850,000 kilogramów; drugie miejsce zajmują Włochy: 3,440,000 kilogr. produkują one rocznie; Francya wydaje 700,000 kilogr., reszta Europy i Azya mniejsza 800000, kilogr. Japonia wywozi rocznie 2,160,000 kilogr. Jedwab japoński jest najcenniejszy.

* **Ze wszystkich drzew** najpierw tracą liście olsze, lipy, brzozy i kasztany; klon dłużej zachowuje zieloną swoję ozdobę, najdłużej zaś opierają się zgubnemu wpływowi wiatru, deszczu i przymrozków jesiennych buki i dęby.

* **Nigdzie nie ma takiej obfitości małp** wszelkiego rodzaju jak w Indyach. Są one czczone przez indusów; nie obawiają się ludzi i można je spotkać nietylko w lasach i ogrodach, ale nawet na dachach domów mieszkalnych. W Benares, świętem mieście indyjskiem, przechadzają się swobodnie po ulicach i bezkarnie rabują przekupniom owoce i jarzyny z koszów. Początek czci oddawanej w Indyach małpom sięga bajecznych czasów; w Wedach znajduje się podanie, że kiedy Rama wystąpił przeciw Rowanie, aby odebrać swą żonę, małpy mu były wielką pomocą w tej wyprawie. W starożytnym Egipcie zwierzęta te odbierały także cześć religijną.

* **Hymn „Dies irae,“** śpiewany podczas mszy żałobnej, należy do klejnotów muzyki kościelnej. Następująca legenda przywiązana jest do niego: Zbrodniarz na śmierć skazany szedł na miejsce kary, otoczony tłumem ludu; towarzyszyli mu kapłani, odmawiając głośno modlitwy za konających. Kiedy umilkli, skazaniec zaśpiewał hymn nikomu nieznany. Zarówno słowa jak melodya pieśni sprawiły głębokie wrażenie na otaczających; wszyscy się zatrzymali, ażeby go słuchać, a kiedy ostatnie słowa przebrzmiały wśród ogólnego milczenia, łzy popłynęły z oczu słuchaczy. Na pytanie księdza skazaniec odpowiedział, że sam jest autorem tego hymnu; odprowadzono go do więzienia i ułaskawiono w zamian za arcydzieło, które stworzył wśród nocy bezsennie spędzonych w celi więziennej, na oczekiwaniu śmierci.

* **Każda lokomotywa** składa się z sześciu tysięcy osobnych części, a wszystkie muszą być tak starannie złożone i dopasowane jak w machinie zegarka.

* **W skutek działania gorących promieni** słonecznych, 37,000,000,000 ton wody paruje co minuta z ziemi; ciężar tej ilości wody równa się ciężarowi sześciu największych piramid egipskich. Ażeby wytworzyć takie ciepło na ziemi, trzebaby spalić na sekundę bryłę węgla długą na 200 mil ang., na tyleż szeroką i wysoką, ważącą bagatelkę: 12,000,000,000,000,000 ton.

* **Dla czego krew jest czerwona?** Czy rzeczywiście krew jest czerwona, jak się wydaje? Ukłujmy się lekko szpilką i kropelkę krwi, która się ukaże na powierzchni, przenieśmy na tafelkę szklaną; następnie zaś patrzmy na nią przez mikroskop, powiększający pięćset razy. Ujrzymy wtedy płyn białawy, wodnisty, zwany osoczem, w którym pływają drobniuchne ciałka. Jedne z nich są czerwone i nazywają się ciałkami czerwonemi, drugie ciałkami białemi. Pierwszy odkrył je Malpighi we krwi jeża roku 1662, następnie w roku 1673 Leuwenhock stwierdził ich obecność w krwi człowieka i innych kręgowych. Krew zatem nie jest czerwona, tak samo jak nie możnaby nazwać czerwonym strumienia, w którym pływałyby czerwone rybki. W porównaniu z ciałkami pływającemi w krwi, ziarnko piasku byłoby olbrzymią masą; średnica ich wynosi jednę sto pięćdziesiątą milimetra, można zatem je widzieć tylko przy pomocy mikroskopu. Wzięte osobno mają barwę żółtawą i dopiero w wielkiej widziane ilości wydają się czerwone. Kształtem przypominają spłaszczony krążek, grubszy na bokach, a w środku cieńszy. Liczba ich jest olbrzymia: w jednej kropelce krwi mieści się ich milion, w milimetrze kubicznym pięć milionów. Gdyby rozłożyć wszystkie czerwone ciałka krwi znajdujące się w ciele ludzkiem, zajęłyby one przestrzeń równającą się 3000 metrów kwadratowych. U wszystkich ssących mają one tę samą postać co u człowieka; najmniejsze są u kozy. U innych kręgowych ciałka krwi mają kształt eliptyczny, krew ptaków zawiera ich więcej niż ssących. Krew stawowatych posiada tylko białe ciałka; kolor jej zielony, żółtawy lub błękitny pochodzi od zabarwienia osocza. Od ilości czerwonych ciałek zależy bogactwo i żywotność krwi; powinny one być pełne i cdznaczać się żywą, czerwoną barwą. U osób słabowitych, wątłych, limfatycznych, krew jest uboższa w czerwone ciałka a barwa ich jest blada. Ciałek czerwonych jest znacznie więcej we krwi niż białych, gdyż na czterysta czerwonych przypada tylko jedno białe.

* **Dawni księgarze.** Niejednego zaciekawi może rota przysięgi, jaką już przed laty prawie 600, bo aż w roku 1302 składali księgarze, znajdujący się

wówczas pod zwierzchnim dozorem uniwersytetów. »Przysięgam, iż wiernie utrzymywać, przechowywać, wystawiać na sprzedaż i sprzedawać będę książki sobie powierzone. Przysięgam, że gdy się mnie radzić kto będzie co do ceny, odpowiem w dobrej wierze, miarkując zapłatę tak, jaką byłbym przyjął sam w razie potrzeby. Przysięgam w końcu, że cena książki i nazwisko właściciela będą umieszczone widocznie na wszelkim egzemplarzu.« Przysięgę taką składano co lat dwa.

* **Bruk z korku.** W Londynie rozpoczęto układanie bruku korkowego w ulicach. Bruk ten jest bardzo prakryczny, jeżeli bowiem należycie nasycony jest smołą, zyskuje nieporównaną trwałość, a nadto powozy jadąc ulicą, nie robią wcale hałasu.

* **Papież Leon XIII** polecił w tych dniach rozdać medale pamiątkowe żyjącym dotąd członkom irlandzkiej brygady papieskiej, która duże zasługi położyła na polu obrony władzy świeckiej Papieża podczas walk roku 1860. W Anglii ruch pod przewodnictwem Garibaldiego wywołał wielki podziw, powitano go, jako oznakę postępu wolności. Irlandya natomiast, która pozostała wierną Papieżowi, uważała ów ruch jako wywołany nienawiścią dla kościoła katolickiego i deputowany A. M. Sullivan, który był wówczas redaktorem pisma »Nation,« nakłonił 2000 przeszło młodych Irlandczyków do utworzenia brygady papieskiej, która w Lipcu r. 1860 wyruszyła do Włoch. Nazwała się ona »batalionem św. Patrick'a,« a dowodził nią major Myles O'Reilly. Jakkolwiek źle uzbrojona i nie wyćwiczona należycie, odznaczała się ta brygada dziką walecznością w bitwach pod Spoleto, Perugią, Anconą i Castelfidardo. W listopadzie 1860 roku, gdy Wiktor Emanuel wstąpił na tron zjednoczonych Włoch, brygada irlandzka powróciła do ojczyzny.

* **Króliki.** W niektórych miejscowościach Australii, gdzie, jak wiadomo, od dawna toczy [illegible] zwierzęta te pod wpływem nowych warunków otoczenia, klimatu, braku żywności itp. zupełnie zmieniły rodzaj życia. Do najciekawszych zmian należy nowo nabyta zdolność łażenia po drzewach. Sprawozdawca pewnej angielskiej gazety sam spotykał króliki na gałęziach akacyi o trzy metry nad ziemią. Inni znajdowali ich ślady na wysokości czterech metrów. Są one wogóle smuklejsze, jaśniej zabarwiono i plamiste; pazury mają ostrzejsze i cieńsze. Młode lęgną się na ziemi, w gniazdach, bez żadnego przykrycia. Niekiedy zaś zwierzątka posiadają prawidłowe hodowle. W czasie wędrówek przebywają wpław znaczne strumienia i rzeki. W dni skwarne siedzą pod wodą, wynurzając tylko łeb nad jej powierzchnią.

* **Tunel pod Niagarą.** W dniu 4-tym Października 1892 roku będzie ukończonym tunel pod wodospadem Niagara. Roboty te zaczęto dnia 4-tego Października 1890 roku, mając do przewiercenia skałę na 6000 stóp długą. Do robót użyto 800 ludzi, którzy na zmianę pracowali dzień i noc. Do rozsadzania skał zużywano codziennie 1400 funtów dynamitu, który, celem zapobieżenia przedwczesnemu wybuchowi, dostawiano na miejsce w stanie zamrożonym.

* **Dziennikarstwo w Egipcie.** Jeżeli dziennikarstwo ma być miarą wykształcenia i rozwoju umysłowego jakiego kraju, w takim razie Egipt przoduje wszystkim krajom mahometańskim, albowiem w dolinie Nilu wychodzi nie mniej jak 92 pisma codzienne i tygodniowe. Z tych 56 wydawanych jest w Kairze, 28 w Aleksandryi i 8 w Port-Saidzie, 40 wychodzi w języku arabskim, 24 we francuskim, 16 w greckim, 10 we włoskim i tylko dwa w angielskim. Najlepszemi pismami arabskiemi są: »Al Ahram« i »Al Mokattam.« Żadna z gazet egipskich nie ma więcej nad 3000 prenumeratorów.

* **Ilość monety na całym świecie.** Dyrekcya mennic Sta-[illegible] Ameryki obliczyła, że złota wybitego na pieniądze obiega w świecie za 3,756,935,000 dol. (16,117,251,150 marek) a srebra za 3,944,700,000 dolarów (16,922,763,000 marek).

* **Na świecie** zamieszkuje około pięć tysięcy pięćset milionów ludzi. Ze wszystkich ludzi na świecie cokolwiek więcej niż połowa jest kobiet. Czwarta część ludzi na świecie umiera przed 15 rokiem życia. Przeciętne trwanie życia ludzkiego jest 36 lat. Na całym świecie co rok umiera od 33 do 34 milionów ludzi. Co dzień kończy życie około 91,500 osób.

* **Opór powietrza.** Z zaprowadzeniem kolei elektrycznych, z powiększeniem szybkości jazdy z 60 do 80 kilometrów na 130 do 150, wystąpiło pytanie, jak pokonać opór powietrza. Inżynierya francuska rozstrzyga tę trudność, nadając przodom lokomotyw zakończenie śpiczaste i zaopatrując wagony w ściany ukośne. Tak zmieniony pociąg pozwala zaoszczędzić do 10 proc. węgla.

* **Na wyspie Madagaskarze** znaleziono, niedawno temu jaje ptaka (Aepyornis), którego rodzaj już zupełnie wymarł. Ptak ten dochodził do rozmiarów, jakich dzisiaj żaden inny gatunek nie posiada. Poznać to po jaju, które jest $11^1/_2$ cala angielskiego długie (1 cal angielski = 2,54 centymetrów), a $8^1/_2$ cala szerokie; największa objętość jego wynosi $31^1/_2$ cala, mniejsza $26^7/_8$ cala. Podobnych jaj, jak powyższe, które zakupiono do muzeum w Londynie, posiada kilka muzeum paryzkie, do którego zresztą się pierwsze jaja, jakie znaleziono, dostały. W r. 1850 zobaczył kapitan francuski Abadie na wyspie Madagaskarze olbrzymie jaje, które było z jednego końca otwarte i służyło za naczynie do wody. Pierwsze to jaje jest zarazem dotąd największe, a posiada 34 centymetry długości, a 22 centymetry szerokości. Grubość łupiny wynosi 3 milimetry. Zawartość jaja tego równa się zawartości 6 jaj stru-[illegible]

jaj najmniejszego ptaszka, zwanego kolibrem.

ŻARTY.

— Dla czego piszesz tak grubemi i dużemi literami? — zapytano się pewnego chłopca.

— O, bo piszę list do babki, która jest głuchą. Piszę jej więc list bardzo głośny.

Ze szkoły.

Nauczyciel: Wiecie tedy, że każdy z nas ma pięć zmysłów; gdyby tak przyszło, którego zmysłu ustąpiłbyś, Kuba?

Kuba: Uczucia, bo gdybym tak, jak dziś, w skórę od pana nauczyciela dostał, tobym nie czuł batów.

Równe miary.

Odbiorca mocno zagniewany wpada do krawca.

— Panie! Tak się nie godzi. Ubranie, które mi pan zrobiłeś, rozlazło mi się po miesiącu.

— Iii — odpowiada powoli mistrz nożyc — pieniądze, które mi pan zapłacił, już na drugi dzień mi się rozlazły...

Porządek.

Zosia: Tatko dziś tak ślicznie ubrany...

Ojciec: Widzisz moja Zosiu dzisiaj niedziela, twój tatko jest porządny człowiek.

Zosia: A co dzień tatko nie może być porządny człowiek?

Szewc bijąc terminatora:

— Ach! ty niegodziwcze, śmiałeś powiedzieć, że z panią majstrową razem jest pięć czarownic w domu!

— Nieprawda! ja mówiłem, że bez pani majstrowej są cztery czarownice w domu.

Matka (przedstawia przyjaciółce swoje niemowlę): Jakże ci się mój nowonarodzony podoba?

Przyjaciółka: Ale śliczny... Takie to biedactwo łysiutke, bez ząbków, powtarzam, prześliczne... Wykapana mama!...

Treść zeszytu 19 „Światła“:

SZARADA.

Pierwsze, stałe miejsce między literami,
Drugie, łatwo odnaleść między przyimkami,
Pierwsze-drugie, pamiętne cudem Zbawiciela,
Pierwsze-trzecie, w kościele, gdy przyjdzie niedziela,
W użyciu, lubo prędzej przy znaczniejszych świętach,
(Choć widzieć ją możemy i na własnych sprzętach)
Trzecie-pierwsze, zwyczajnie za schowanie służy,
Dla różnych w domu gratów, a częściej w podróży,
Wszystko sprzęt, co go raczej wynalazła moda,
Niż ze smakiem wykwintnym złączona wygoda.

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

Z następujących zgłosek:

ar, a, cha, ci, [illegible], cy, e, a, i, ko, kra, la, li, ma, ma, mos, rek, rus, ryasz, rie, sa, [illegible], wiak, za, zra.

ułożyć wyrazy: 1. Imię męzkie. 2. Rzeka w Szwajcaryi. 3. Zwierzę górskie amerykańskie. 4. Starożytny król perski. 5. Imię biblijne. 6. Jezioro w Ameryce. 7. Imię męzkie. 8. Wyspa z Archipelagu. 9. Taniec ludowy polski. 10. Lud starożytny, przez Boga wybrany. Początkowe litery, odczytane z góry na dół, utworzą nazwisko poety polskiego, końcowe powieściopisarza, obaj żyli w XIX wieku.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy 20 nagród. Rozwiązania należy przesłać **do końca Listopada z poniższym znakiem.**